



## Nasze konferencje w Koszycach

Profesora Andrzeja J. Norasa poznałem w 2004 roku na konferencji w Karpaczu, poświęconej dwusetnej rocznicy śmierci Immanuela Kanta. Kantyści stawili się wówczas gremialnie. Do mojego zapoznania z Profesorem Norasem doszło dzięki uprzejmości prof. Karola Bala. Już wcześniej zapowiadał on obecność Profesora Norasa w Karpaczu. Chwalił Go za osiągnięcia, zwłaszcza za pracę habilitacyjną.

Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Obaj zajmowaliśmy się Kantem. Ja badałem Kanta na poziomie przedkrytycznym, a Profesor Noras, całą duszą i sercem, wędrował w stronę interpretacji kantowskich w myśli Hermanna Cohena i Nicolaia Hartmanna. Wysoki, szczupły, zawsze w marynarce i dżinsach, bez krawatu. Nie znośił zresztą być dostojnie ubrany. Wolał raczej luźny styl. Profesor Bal śmiał się z nas, bo obaj nosiliśmy dżinsowe kurtki. Później, gdy Profesor Noras został prorektorem, musiał się przyzwyczaić do galowych ubrań. Poza tym z uśmiechem nosił charakterystyczne okulary, które czyścił starannie ściereczką z irchy. Obrazu dopełniało dobrej marki wieczne pióro. Podczas egzaminu jednej ze studentek, która chciała Mu użyczyć własnego długopisu, powiedział nawet żartobliwie: „Myśli pani, że nie mam lepszego pióra”. Profesor Noras starał się być zawsze uśmiechnięty i żartobliwy. Mało mówił i dopiero w gronie przyjaciół otwierał się w pełni. Powtarzał często wówczas swoje ulubione: „Chopie, to się po prostu wie!”.

Rozmowom z Nim zresztą nie było końca. Od pierwszego spotkania w Karpaczu widać było, że szykuje się nam przyjaźń na lata. Jeszcze jedna bardzo ważna rzecz cechowała moje pierwsze kontakty z Profesorem Norasem, mianowicie pełna otwartość i zaufanie. Można było do Niego dzwonić o każdej porze. Odbierał telefon i długo słuchał, co miałem

do powiedzenia. Gdy został prorektorem, zadzwonił i podał mi numer swojej służbowej komórki.

Rozmowy prowadziliśmy przez lata z dużą regularnością trzy razy w tygodniu, a nawet częściej. Rozmawialiśmy jak kumple z piaskownicy – o wszystkim, zwłaszcza o samochodach, hokeju na lodzie i piłce nożnej. Żył Professor Noras sentyment do drużyn ze Śląska i kochał polską drużynę narodową. Chodził na mecze hokejowe lokalnego GKS-u Tychy i kibicował lokalnej drużynie piłkarskiej, zwłaszcza od czasu, gdy wybudowano nowy stadion. Ukochał też tenis ziemny, w którego grywał regularnie. Uwielbiał, gdy na kort wychodził Roger Federer. Traktował go jak wzór tenisowej elegancji. Pamiętam, jak kiedyś w przerwie między obradami podczas konferencji w Wiśle graliśmy w tenisa i odprawił mnie z tak zwanym rowerkiem (6:0, 6:0). Śmiałyśmy się później z tego. I muszę przyznać, że grało nam się wyśmienicie, mimo mojej sromotnej porażki.

Nigdy też nie krył się Professor Noras ze swoimi planami naukowymi. Jak leciał lub jechał na jakąś konferencję naukową, zwłaszcza zagraniczną, to długo dyskutowaliśmy o tematach Jego wystąpień. Pamiętam, że gdy pojawiały się pytania o neokantyzm, od razu dzwoniłem do mojego eksperta. Jego odpowiedzi były długie i rzeczowe. Professor Noras nigdy nikogo nie zbywał. Słuchał do końca, nawet gdy był już zmęczony i miał serdecznie dość wszystkiego. Szczególną słabość miał do swoich pracowników. Poświęcał im ogromną ilość czasu. Rozmawiał, napominał, wskazywał rozwiązania i namawiał do ciężkiej pracy. Nie lubił, gdy któryś z nich się rozpraszał. Delikatnie to wtedy wypominał, mówiąc, że nie warto zajmować się rzeczami sekundarnymi, choćby takimi jak taniec czy śpiew. Tym niech się zajmują inni. Nas stworzono do filozofii i to nią – zaraz po piłce nożnej – powinniśmy się jak najlepiej i najstaranniej zajmować. Jego zdaniem wszystkie inne zajęcia nie sprzyjały rozwojowi prowadzonych badań. Śmiał się z moich pomysłów kulinarnych i nie potrafił zrozumieć mojej pasji. Często na konferencje zabierał swoich podopiecznych. Lubił przystanąć w przydrożnym zajeździe i zjeść tam dobry obiad. Musiało być koniecznie mięsko i ziemniaczki. Professor Noras unikał ryb, a jeśli już, to jadał je rzadko. Pamiętam, jak mówił: „Żona ma ze mną kłopot na Wigilię, bo ja mogę zjeść tylko kawałek soli”.

Nie byłoby nas obu, gdy nie inny jeszcze, zacny i starszy Professor Czesław Głombik. Mawiał On, że jesteśmy tylko kandydatami na prawdziwych profesorów. Sam w całej swej skromności uważał się za prawdziwego profesora. Zwykł powtarzać: „Wy, moi kochani chłopcy, jesteście tylko na razie »volksprofesorami« i jeszcze trochę czasu potrzeba, abyście stali się prawdziwymi profesorami!”. Po kilku latach zaś z dumą przyznał: „Dziś do Koszyc na konferencję jadę z dwoma prawdziwymi profesorami”.

Profesor Noras, który prowadził wtedy swoje duże auto – a miał do niego pewną słabość, chyba taką samą jak do hokeja na lodzie i piłki nożnej – zaczął się śmiać i puścił kierownicę. Usłyszał na to od Profesora Głombika: „Jedźże, chowie, starannie, bo nam tu coś brzydkiego wystrugasz!”. Ja zaś poczułem dumę, że mogę z Nimi przebywać. Profesor Głombik poprosił wtedy, abyśmy mówili sobie po imieniu. Dziwił się jednak nieco, gdy mówiłem do Niego cały czas zdrobniale: „Czesiu”. Wolał, gdy nazywano Go po prostu Czesławem. Nie mógł się też przyzwyczaić do mojego imienia i często nazywał mnie Darkiem, a nie Radkiem. Dopiero po latach to zapamiętał. Mniejsza jednak o konwenanse. Ma być przecież mowa o naszych wspólnych wypadach na Słowację, do Koszyc.

Do Koszyc jeździliśmy przeważnie samochodem Profesora Norasa. Dumny był ze swego pojazdu. W tym wypolerowanym, wysprzątanym samochodzie zawsze odtwarzana była muzyka Pink Floydów, której uczestnicy podróży bez protestów słuchali. Czasami jeździł z nami dr Dariusz Bęben, wówczas wielbiciel czeskiej czekolady Studentskiej. Siedział zawsze jednak nieco wycofany i snuł własne plany. Do dziś chodzi zresztą, może słusznie, tylko swoimi ścieżkami.

Wyruszaliśmy z Tych. Jechaliśmy następnie do Katowic na Brynów na ulicę Bocianów po Profesora Głombika. Zabieraliśmy dra Bębena z Uniwersytetu i dalej jechaliśmy drogą w kierunku Słowacji. Na przejściu granicznym stawaliśmy w zajeździe na doskonale knedliki z mięsem i dobrym piwem, które piłem sam, bo Profesor Noras prowadził, a Profesor Głombik miał chorobę lokomocyjną, więc wolał wypić wodę lub herbatę. Jak te knedliczki nam smakowały! A to piwko, tak doskonale schłodzone! Najedzeni wjeżdżaliśmy do Słowacji. Oznajmiały nam to przydrożne megafony miejskie i wiejskie, przez które słyhać było stare melodyjki. Wszędzie czysto. Może tylko zbyt dużo reklam piwa Šariš, które liczyliśmy po drodze – na każdą dostrzeżoną przez nas reklamę reagowaliśmy gromkim i przeciąganym: „Szariszsz”.

Były oczywiście po drodze opowieści Profesora Głombika o Śląsku, Uniwersytecie, kolegach akademikach i badaniach naukowych. To On natchnął mnie i sprawił, że zająłem się filozofią polską. Szczególnie zależało Mu na przywróceniu właściwej rangi badaniom nad Ingardenem i Tatkiewiczem. Cieszył się jeszcze niedawno, dosłownie na dwa tygodnie przed śmiercią, gdy przesłałem mu drugi tom *Biografii* Ingardena i opowiadałem o albumie poświęconym Tatkiewiczowi. Profesor Głombik miał w sobie coś takiego, że potrafił wyrażać radość z dobrze prowadzonych badań. Zawsze służył dobrą radą i rzeczywiście pomagał. A z badań nad filozofią polską cieszył się szczególnie. Sam poświęcił im prawie całe swoje naukowe życie.

Konferencje w Koszycach organizował szef tamtejszej filozofii prof. Władimir Leško. Niezwykle sympatyczny człowiek, lekko szpakowaty, zawsze elegancko ubrany. Dziewczyny za nim szalały, mimo że gdzieś z oddali czuwała urokliwa i serdeczna żona prof. Leški. Już przy pierwszym spotkaniu prof. Leško zaproponował, abyśmy mówili sobie po imieniu. Podczas kolejnych spotkań w Koszycach mówił do mnie: „Radek, robisz świetną robotę, a Czesław się z niej bardzo cieszy”. Profesor Leško zawsze sprzyjał nam, Polakom, a podczas naszych spotkań traktował nas serdecznie i gościł z wielką sympatią. Na konferencje do Koszyc do popularnego Włada zjeżdżali w tamtym czasie inni znani filozofowie ze Słowacji i z Czech. Bywał tam znakomity tłumacz literatury niemieckiej Theodor Münz i niezrównana w swoim serdecznym sposobie bycia Zlatica Plašienková z Bratysławy. Pani prof. Plašienková bardzo nas lubiła. Zawsze dużo mówiła i chciała, aby opowiadać jej o polskiej filozofii. Profesor Noras wykręcał się troszeczkę i mówił wtedy, że najlepiej o naszej filozofii opowie Profesor Głombik. W chwili wolnej od obrad chodzili nawet razem – Profesor Głombik i prof. Plašienková – do koszyckiej opery, gdzie oglądali wystawianą tam *Zemstę nietoperza*. Profesor Głombik lubił Plašienkovą.

Inną jeszcze parę tworzyli niezrównani czescy profesorowie z Brna – Břetislav Horyna i Jan Zouhar. Profesor Horyna doskonale znał niemiecki i poprawiał wszelkie zasłyszane błędy. Z nami chciał nawet podczas konferencji rozmawiać po niemiecku, lecz nie było takiej potrzeby; na tyle rozumieliśmy się nawzajem, że niemiecki bywał przydatny właściwie tylko wtedy, gdy chodziło o konkretne terminy niemieckie i ich przekład na polski oraz czeski. Horyna był duszą towarzystwa. Próbował nawet śpiewać i przyznam, że mu to nieźle wychodziło. Drugi z czeskich kolegów z Brna, prof. Zouhar, dziekan tamtejszego Wydziału Filozoficznego, był jeszcze bardziej rozrywkowy. Zawsze uśmiechnięty, opowiadał niezliczoną ilość anegdotek i kawałów. Widać było, że w młodości musiał być duszą towarzystwa. Nie lubił zresztą obrad konferencyjnych i wołał siedzieć w ostatnim rzędzie, gdzie ucinął sobie drzemki. Zawsze miał przy sobie piersióweczkę, z której popijaliśmy doskonałą śliwovicę.

W gościnie u Włada w Koszycach bywał też zacy profesor z Pragi Milan Sobotka. Profesora Sobotkę znałem jeszcze z wrocławskiego kongresu heglowskiego, zorganizowanego przez prof. Bala. Po latach w Koszycach prof. Sobotka poznał mnie od razu i spytał: „Co słyhać we Wrocławiu i jak miewa się Karol Bał?”. Był w doskonałej formie. Lekko nie dosłyszał, miał nawet trąbkę, przez którą kazał do siebie mówić, lecz zawsze był merytorycznie przygotowany, miał ogromną wiedzę o Heglu, Fichtem i Schellingu, zadawał przeważnie trudne pytania. Nie żądał odpowiedzi, lecz w długich wywodach starał się sam wypowiedzieć do końca. Miał posłuch, zwłaszcza

wśród młodzieży studiującej w Koszycach filozofię. Wielkim poważaniem darzyli go zarówno studenci, jak i asystenci. Na wykładzie Sobotki nie mogło zabraknąć nikogo. Czasem przeciągał swoje wypowiedzi, co nas lekko irytowało. Nikt jednak nie śmiał przerwać jego wystąpienia. Odebrane to mogło być jako nietakt. Jednego razu uwziął się jednak na Sobotkę młody student z Pragi, niejaki Jan Kuneš, który zaprezentował mało merytoryczny wywód. Profesor Sobotka słuchał przez niemal godzinę swego adwersarza, po czym stwierdził, że ten powiedział wszystko, co wiedział, więc dalsza dyskusja nie ma sensu. Tym samym niedoświadczony adept filozofii musiał się zawstydić – skulił ogon i uciekł z sali obrad.

O konferencjach w Koszycach można by pisać jeszcze dużo. Na ten temat usłyszeć też można wiele ciekawych anegdot. Jedna wydaje się szczególnie ciekawa. Chodzi mianowicie o uroczystość przyznania przez Uniwersytet Pavla Jozefa Šafárika w Koszycach prof. Münzowi i Sobotce doktoratów *honoris causa*. Stało się to oczywiście podczas jednej z naszych jesiennych konferencji. Przyjechalśmy do Koszyc jak zwykle we trzech na dzień przed uroczystościami. Profesor Leško przygotował się solidnie. Odnowiona sala posiedzeń i inne zabiegi sprawiły, że można było wyczuć podniosłą atmosferę. Naszą uwagę przyciągnęło jednak co innego. W holu przy wejściu rozstawiono wygodne fotele i dwa duże stoły, na których ustawiono koszycki tokaj w litrowych karafkach i trzy ogromne talerze ze strudlem. Pamiętam, jak chodziłem za prof. Lešką i pytałem, czy to na pewno dla nas, a jeśli tak, to czy musimy wypić wszystko. Przysiadł się do nas wówczas nawet jubilat prof. Sobotka, z którym ucieliśmy sobie pogawędkę. Opowiadał głównie o swoich wizytach na niemieckich uniwersytetach i zawartych tam przyjaźniach. Pamiętał jeszcze doskonale czasy Rudolfa Maltera i Ottona Pöggelera. Żałuję jedynie, że nie nagrałem tych opowieści. Dziś byłby z nich doskonały reportaż. Wraz z Profesorem Norasem wypiliśmy ogromną ilość tokaju i zjedliśmy wiele porcji strudla. Już nigdy później takiego tokaju nie piłem, a smak strudla pamiętam do dziś. Jabłko zmieszane z wiśnią i cynamonem, wszystko w odpowiednich proporcjach. Smakowało wybornie.

Sama konferencja jubileuszowa prof. prof. Münza i Sobotki ukazała ich zasługi na polu badań nad niemiecką filozofią. Zobaczyłem wówczas ogrom pracy, którą obaj włożyli w translację dzieł idealizmu niemieckiego. Pomyślałem wtedy, że dobrze by było, gdyby i u nas prowadzono tego rodzaju badania. Czas pokazał, że Słowacy i Czesi poszli w nich znacznie dalej od nas. Udały im się kolejne pokolenia filozofów. Spytałem wówczas prof. Horynę, jak prof. prof. Münz i Sobotka radzili sobie w trudnych czasach komunizmu. Powiedział tylko, że niestrudzona praca pozwoliła im przetrwać i osiągnąć takie rezultaty. Słowa *Ora et labora* stały się czynem.

Uroczyste wręczenie dyplomów doktora *honoris causa* i uhonorowanie obu jubilatów odbyło się w Auli Uniwersyteckiej. Pamiętam z tamtej uroczystości przemowę prof. Sobotki. Mówił o filozofii niemieckiej. Słuchałem z uwagą jego wypowiedzi. Nigdy później nikt mnie już nie wciągnął tak w ten temat i tak nim nie zauroczył, jak uczynił to wtedy prof. Sobotka. Później był bankiet, podczas którego życzenia i mowę wygłosił Profesor Głombik. Mówił oczywiście z „głowy”. Bo jakże by można było rzecz taką odczytać z kartki? Profesor Głombik przemawiał, jak zwykle, bardzo dostojnie. Dobierał słowa niczym poeta, a przecież wierszy nie pisał. Porównania, które płynęły z Jego ust i ulatywały w stronę zebranych gości, sprawiły, że sala bankietowa rozjaśniała niczym platońska jaskinia. Głos i słowa Profesora Głombika wzruszyły nas do tego stopnia, że niektórym nawet popłynęła łezka z oka. Czuliśmy wówczas, że pewna epoka się kończy. Starzy, wydawało się – wieczni, akademicy zaczęli powoli zmierzać na drugą stronę Styksu. Nie przypuszczałem wtedy, że kilka lat później tak szybko odejdą moi najwięksi w filozofii przyjaciele.

Profesor Noras odszedł od nas w najmniej oczekiwanym momencie i w sile wieku. Pamiętam, jak pewnego razu zadzwoniłem do niego. Jak zwykle odebrał telefon. Nie mógł już jednak mówić. Uciążliwy kaszel nie pozwalał Mu wypowiedzieć kolejnych słów. Później napisał mi tylko, że zachorował na COVID-19 i musi udać się do szpitala. Słowa te zmartwiły mnie bardzo. Nie myślałem jednak, że już nigdy później nie będę mógł porozmawiać z moim Przyjacielem. Profesor Noras pozostanie w naszej pamięci jako niezrównany w swych badaniach pracuś, od którego trzeba było uczyć się pisać książki. Ścigaliśmy się trochę w tym względzie, lecz nigdy Profesorowi Norasowi w tym nawet nie próbowałem dorównać. Jego systematyczność, rozkład dnia, ranne wstawanie i praca są czymś, czego dziś już próżno szukać w tym dziwnym świecie. I pomyśleć, że człowiek wysportowany, grający w tenisa, pływający trzy razy w tygodniu, jeżdżący na rowerze nie wytrzymał pod naporem tej strasznej pandemii.

*Radosław Kuliniak*

Uniwersytet Wrocławski

 <https://orcid.org/0000-0002-0090-6609>